

Andrzej Jaroszyński

OPERACJA 1001 FROMBORK

Operacja 1001 Frombork to wielka akcja Związku Harcerstwa Polskiego, wspierana przez władze partyjno-państwowe. Podjęto ją w celu uczczenia 500. rocznicy narodzin Mikołaja Kopernika (1473–1523), wielkiego astronoma i kanonika warmińskiego, który znaczną część swego życia spędził we Fromborku. Pomysł akcji narodził się jesienią 1965 roku, decyzję o jej przeprowadzeniu podjęto 29 marca 1966 roku w Olsztynie. Celem operacji była odbudowa grodu Kopernika, Fromborka – miasta bardzo zniszczonego pod koniec drugiej wojny światowej. W latach 1966–1973 we Fromborku przebywało od 30 do 46 tysięcy instruktorów, harcerek i harcerzy, którzy realizowali rozmaite prace porządkowe, usuwali gruzy, sadzili drzewa, układali chodniki, murowali i budowali. Uczestnicy co najmniej trzech turnusów otrzymali najwyższe wyróżnienie (2391 osób) – tytuł Honorowego Obywatela Fromborka (HOF). Porządkowanie miasta, jak każde działanie wynikające z dramatycznych zawirowań historii, ma swoje blaski i cienie. W założeniach uzasadnione, przyczyniło się jednak do usuwania śladów i nawarstwień historycznych. W 50. rocznicę zakończenia akcji publikujemy fragmenty wspomnień Andrzeja Jaroszyńskiego, jednego z jej uczestników, ukazujące osobisty wymiar tego przedsięwzięcia.

Andrzej Jaroszyński
Opowiadania

Ludzie muszą pić

Wcale nie przeszkadzało mi, że byłem najmłodszym uczestnikiem obozu (nie licząc dzieci instruktorskich, którym w najlepszym razie przydzielano prace pomocnicze). Na początku przez kilka dni pracowałem z grupą kwatermistrzowską. Dałem radę. Targanie sprzętu, rozstawianie obozu, zagospodarowanie ruin (starego browaru?) na kawiarenkę obozową. Nikt nie pytał mnie, ile mam lat. Karty uczestnictwa otrzymywali tylko harcerze starsi. Nie byłem harcerzem starszym, ale nie zamierzałem się tym chwalić. Zresztą, wyglądałem na 17 lat. No, może na 16.

Jurek Szczepaniak, szef grupy kwatermistrzowskiej, kazał mi przerwać niwelowanie terenu pod amfiteatr obozowy. Miałem się umyć, ubrać po ludzku i zameldować u niego. Zrobiłem to błyskawicznie. U Jurka wszystko musiało być zrobione błyskawicznie. Kiedy się meldowałem, zauważyłem, że jest wkurzony bardziej niż zwykle.

– Spocznij! Siadaj! Mam dla ciebie niewykonalne zadanie.

– ?! (nieźle nadaje!)

– Już trzeci dzień próbuję kupić, załatwić, zorganizować uszczelkę do pompy. Próbowałem wszędzie i u wszystkich. Nic! Nie ma! Nie ma uszczelki – nie ma pompy. Nie ma pompy – nie ma wody. Nie ma wody – nie ma obozu. Uszczelka musi być skórzana. – Podał wymiary. – Masz tu pieniądze na autobus do Braniewa i na uszczelkę. Możesz podwójnie zapłacić, ale rachunek ma być na dwie uszczelki.

– Rachunek? – spytałem głupio, bo w życiu nie kupowałem niczego na rachunek.

– Co ty myślisz? Jak ja się z tego rozliczę? Zresztą, nie musi być rachunku, byleś tylko przywiózł uszczelkę. Możesz ją nawet ukraść. Wymodlimy ci w katedrze rozgrzeszenie. Zbieraj się. Masz cztery godziny czasu.

Pojechałem. Sklepy (cha, cha!), Państwowy Ośrodek Maszynowy, tzw. POM (kazali mi spadać), jednostka wojskowa (nawet mnie nie wpuścili), mleczarnia (jak wyżej). Koszula lepiła mi się do pleców, nogi weszły mi w potylicę. Byłem wściekły. Siadłem na ławce przy jakimś skwerku. Musiałem odparować. Mam wrócić do chłopaków bez tej chrzanionej uszczelki? Wygląda na to, że wrócę bez niej. Co tam, nikt i tak nie spodziewał się, że ją załatwię. Jurek pewnie był w POM-ie i jednostce wojskowej i też nic nie załatwił. Ale gdzieś taka uszczelka być musi. Tylko gdzie? Takie tam gadanie! Uszczelki nie ma! Nie można jej kupić, wyżebrać, załatwić ani nawet ukraść. Koniec, kropka! (i wykrzyknik). Oddałbym swoje trampki na tę uszczelkę, ale są niestety gumowo-parciane. TRAMPKI! Ale jestem głupi! Przecież to proste! Niech sobie nie myślą, że jak człowiek ma 14 lat, to jest niekumaty!

Ludzie wskazali mi drogę. Małe podwórko, ciemna sień. Za drzwiami ktoś ochryple klął (jak szewc). Zapukałem. Monolog przybrał na sile. Niedobrze. Może to nie był taki dobry pomysł z tym szewcem? Co tam, skoro już tu jestem…

– Dzień dobry panu. Jestem harcerzem i potrzebujemy…

– Jesteś (pi pi pi pi) harcerzem?

– Tylko kawałek skóry. O, taki mały! Na uszczelkę do pompy.

– Pi pi pi pi!

– Bez tej uszczelki ludzie nie będą mogli się umyć ani nawet napić!

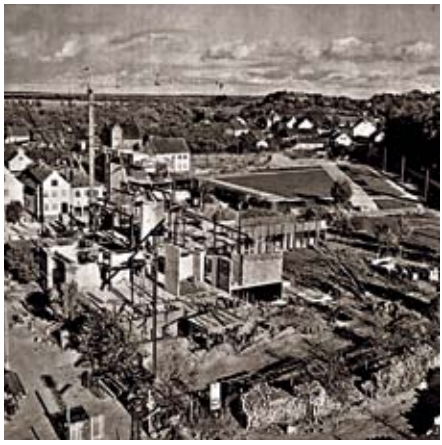
– Ludzie muszą pić. – Rzucił we mnie kawałkiem skóry, z którego dałoby się wykroić nawet trzy uszczelki.

– Ile płacę? – o matko! Czy on umie wystawiać rachunki?

– pi pi pi!

– Dziękuję panu. Jest pan dobrym człowiekiem.








Przestał przeklinać. Spojrzał na mnie uważnie. Uśmiechnął się i powiedział:
– Zaraz ci przywalę młotkiem.
Wcale się go nie bałem, ale kończył mi się czas.

Następnego dnia mieliśmy w obozie bieżącą wodę do mycia. Niestety, nie spełniała wymogów sanepidu jako pitna, więc wodę pitną dowoziliśmy beczkowozem. Gdyby pan szewc wiedział, że jego dar nie umożliwił ludziom picia…

Pędzelek i szpachelka

Dostałem fioła. Chłopaki (Marek i „Wodzu") mieli mi za złe, że się na nich wypinam. Tłumaczyli, że grupa kwatermistrzowska to najlepsza fucha na obozie. Przed obozem harowaliśmy jak muły, ale teraz w trakcie obozu to nam nie grozi. Zwozisz tylko zaopatrzenie, naprawiasz sprzęt, żresz co chcesz. Większość obowiązków obozowych cię nie łapie…! Bajka.

Dostałem fioła na punkcie innej bajki. Chciałem być archeologiem. Pracować na wykopaliskach. Po raz pierwszy nasze zgrupowanie miało pomagać przy pracach wykopaliskowych. Archeologia, skarby, tajemnice przeszłości, dawne kultury… Jak mógłbym sobie to odpuścić? Musiałem się dostać do grupy archeo. Miałem szczęście. Zgłosiło się więcej dziewczyn niż chłopaków. Jola (moja siostra) też miała szczęście.

Nie miałem pojęcia, co będę robił, ale widziałem już tyle filmów i czytałem tyle książek o wykopaliskach, że nie mogłem doczekać się chwili, kiedy zacznę pracę. Miałem gdzieś docinki kumpli, którzy nazywali mnie „pierońskim kopidołem". Co oni tam wiedzą! Jestem fuksiarzem. Przy moim szczęściu wcześniej czy później trafię szpachelką na coś wspaniałego. Omiotę to pędzelkiem i niech pękają z zazdrości wszyscy, którzy przyjechali tu, żeby się obżerać.

Pierwszy dzień pracy. Poszliśmy na dziedziniec katedry fromborskiej. Kierujący wykopaliskami archeolog podzielił nas na dwie grupy. Dziewczyny do pracy na dziedzińcu katedry, chłopaki za murami katedry. Mieliśmy być przydzieleni do „profesjonalistów", tj. najemnych robotników pracujących za pieniądze. Na początek mieliśmy pracować pod ich bezpośrednim nadzorem. Wyszedłem z innymi przed bramę południową (?). Po prawej stronie zauważyłem dwa długie wykopy. Sondażowe, tak mi powiedzieli. Dostaliśmy łopaty do rąk. Kiedy spytałem, kogo szukamy, dowiedziałem się, że „to się okaże". Przydzielono mnie do niewiele ode mnie starszego chłopaka, Piotrka. Wskoczyłem do dołka z łopatą i zaczęliśmy kopać. Praca była ciężka. Korzenie, kamienie, gruz. Trzeba to było wybierać w ten sposób, żeby dno wykopu było poziome. Byłem rozczarowany. Nie spodziewałem się, że trafię na TAKIE wykopaliska. Nie zamierzałem jednak wymiękać. Ręce bolały jak diabli. Na dłoniach miałem pęcherze. Pracowałem takim samym tempem jak Piotrek. Po jakimś czasie zauważyłem, że Piotrek wolniej macha łopatą. Kiedy zobaczył, że ja nie zwalniam, powiedział do mnie: „Wolniej, chłopie, archeologia






POCZTA







to nie łapanie pcheł. Musisz się oszczędzać. Kto wie, ile jeszcze takich dołków będziemy musieli kopać, zanim coś znajdziemy". Wiedziałem swoje. Kopałem dalej. Miał jednak rację. Dwa dni później musieliśmy zakładać szalunki, tak głęboko się wkopaliśmy. Wchodziliśmy do wykopu po drabinie. Wykopany „urobek" wyrzucaliśmy z wykopu na dwa razy, tzn. najpierw na półkę i z półki na górę. Dokopaliśmy się. Zgodnie z przeczuciem kierownictwa wykopalisk trafiliśmy w końcu na fragmenty fundamentów barbakanu, o którym przedtem nikt nie wiedział. Nie było go na żadnych zachowanych planach.

Jola miała więcej szczęścia. Pracowała z Jagodą przy oczyszczaniu i dokumentowaniu znalezisk z wykopów na dziedzińcu i pod murami katedry (w dawnej fosie). Nasi przodkowie nie byli wcale porządniejsi od nas. Okazuje się, że wiele przedmiotów wyrzucali przez okna.

Tamtego lata nie było mi dane trafić na skarb czy też jakikolwiek przedmiot zrobiony ręką przodków. Przyniosłem za to do obozu kilka prześlicznych tajemniczych kulek, wyglądających jak porcelanowe. Były niesamowicie tęczowo ubarwione. Kierujący wykopaliskami powiedział, że tak wygląda średniowieczna zaprawa murarska poddana działaniu wysokiej temperatury. Te kuleczki wytopiły się spomiędzy cegieł murów obronnych podczas któregoś z licznych pożarów (wojna? szturm?). Dziewczyny wycyganiły ode mnie wszystkie kulki. Co tam. Niech mają. Na pamiątkę.

Mimo wszystko. Archeologia kojarzyła mi się z pędzelkiem i szpachelką.

Giżycko

Mój trzeci sezon wykopaliskowy. Drugi na stanowisku „Garbina". Tym razem już w osobnym podobozie „Archeo". Jestem instruktorem, ale mieszkam w namiocie razem z moim zastępem. Nazywają nas „Reszta Świata", bo w odróżnieniu od innych zastępów, „jednorodnych etnicznie" (np. wszyscy pochodzą z Giżycka), jesteśmy niejednorodni. Marek i Henio mieszkają we Wrocławiu, Jurek i ja w Działdowie, „Mistrzu" w Pasłęku, „Hrabia" w Braniewie, Bogdan w Ornecie.

Chłopcy z sąsiedniego zastępu przyjechali z Giżycka. Należą do jednej drużyny o paramilitarnym profilu. Chodzą w „moro". Są wysportowani i chętnie to demonstrują. Początkowo trochę się izolowali, ale są w porządku. Pierwszy dzień pracy na wykopie. Pani Maria, szefowa wykopalisk, prosi, aby zgłosili się ochotnicy do przygotowania frontu robót. Chłopcy z Giżycka nie pozwalają jej skończyć mówić i zgłaszają się wszyscy. Jurek, „Hrabia" i ja wiemy, na czym polega przygotowanie frontu robót i jesteśmy zadowoleni z takiego obrotu sprawy. Zostajemy w obozie. Ktoś musi zrobić pionierkę obozową. Giżycko pojawia się przed obiadem. Zmęczeni bardzo, ale zadowoleni. Na dłoniach mają pełno bąbli od łopat i siekier. Karczowali zagajnik i zrywali darń z miejsca, gdzie będzie wykop.


Zrzut chemiczny











Miałem spotkać się na obozie z Ulą, ale nie przyjechała. Druhna komendantka zgrupowania chyba pamięta mnie i Ulę z ubiegłorocznego obozu, bo przysłała do mnie panią dziennikarkę z „Na Przełaj" (popularny tygodnik dla młodzieży). Ona pisze artykuł pt. „Obozowa miłość". Rozmawiamy. Pani nie może uwierzyć, że od ubiegłorocznego obozu widziałem się z Ulą tylko raz (kilkanaście minut) i nie chodziłem z żadną dziewczyną. Zauważa, że Ula nie przyjechała na obóz. Co z tego. Po obozie pojadę do niej. Rozmawiamy na polance leśnej kilkaset metrów za obozem. Pani redaktor pyta, czy mam przy sobie zdjęcie Uli. Nie mam. Nie potrzebuję, ale jak chce obejrzeć jej zdjęcie, to w świetlicy na tablicy ogłoszeń są zdjęcia z ubiegłorocznych wykopalisk. Ciekawskie babsko zerwało się i już leci popatrzeć na te zdjęcia. Żegnam się z nią. Muszę wracać do pracy. Rozczarowana. Jak ona pozna, która to Ula? To proste. Jeżeli rozpozna mnie, to ją też.

Kolejny dzień za nami. Nie możemy zasnąć, bo Jurek dostał ataku didżejomanii. Leży na łóżku. Błyska latarką i wzorem prezentera Radia Luxemburg „zapowiada kolejne numery", a później „śpiewa". Nie da się tego wytrzymać, ale co zrobić. Odbiło mu. Wie, że jest bezkarny, bo komendantka wyszła na naradę do komendy zgrupowania. Biedne dziewczyny z Ornety, które mają właśnie wartę. Błagają go na wszystkie świętości, żeby przestał, bo ściągnie im na głowę kłopoty, ale on nie reaguje. Musi się wydidżejować. Raptem zmienia repertuar. Zaczyna śpiewać polski hit „Jest Warszawa". Polega to na wywrzaskiwaniu na całe gardło „Jest Warszawa, po prostu jest". Tego było już za wiele chłopakom z Giżycka. Z dziesięciu młodych, zdrowych gardeł dobył się wrzask „Jest Giżycko, po prostu jest!" Zagłuszyli Jurka. Z drzew zaczęły spadać szyszki. Nasz didżej nie dał za wygraną. Kiedy tamtym zabrakło tchu, znokautował ich wrzeszcząc: „Jest Działdowo, po prostu jest!". Oprócz echa, które mu zawtórowało, usłyszałem trzask łamanych gałęzi w lesie. Wypłoszyli stado dzików? Nie zdążyłem dokładnie zlokalizować tego odgłosu, gdyż Giżycko uderzyło odwetowo (lecz monotematycznie): „Jest Giżycko, po prostu jest!!!". Powtórzyli to jeszcze trzy razy. Niespodziewanie do rywalizacji włączył się jeszcze ktoś trzeci. GIŻYCKO! NA PLACU APELOWYM ZBIÓRKA!!! To druh Kubiś, instruktor zgrupowania, na polecenie komendantki sprawdzał właśnie, co się u nas dzieje.

Nie muszę dodawać, że chłopcy z Giżycka ubrali się błyskawicznie i karnie wymaszerowali z obozu pod dowództwem dh. Kubisia. Zastanawialiśmy się, jak też druh Kubiś ich spacyfikuje. Przeważała opcja musztry z zakopywaniem zapałki. W końcu zasnęliśmy nie zaspokoiwszy ciekawości. Rano okazało się, że zgrupowanie przez tę noc wzbogaciło się o piękny, zgrabny i solidny pomost na rzece Baudzie. Dali radę. Nie mieli do Jurka pretensji, że ich sprowokował. Musieliśmy tylko trochę wyręczać ich w pracy na wykopie, bo jakoś byli senni.








Czerwona bestia
[fragm.]

Kiedy do końca obozu zostało tylko kilka dni, komendantka kazała Mrówce i mnie zameldować się w świetlicy komendy zgrupowania. Zebrali się tu sami fromborscy weterani, którzy co najmniej trzeci raz uczestniczą w Operacji 1001 Frombork. Mieliśmy wybrać spośród nas dwie osoby, dziewczynę i chłopaka. Operacja 1001 Frombork wysyła swoich przedstawicieli na Zlot Młodych Przodowników Pracy i Nauki w Łodzi. Nasze zgrupowanie miało przydział dwóch miejsc. Dlaczego musieli to być chłopak i dziewczyna? Nie wiem.

W demokratycznych tajnych wyborach zwyciężyła Mrówka i ja. Nie byłem z całą pewnością przodownikiem nauki. Nie czułem się przodownikiem pracy. Wcale się tym nie przejmowałem. Cieszyłem się na nową przygodę. W dodatku nie pojadę tam sam. Będzie ze mną Mrówka, wspaniała kumpela. Trochę było mi szkoda kilku dni obozu, ale coś za coś. Trudno. Sztab Operacji zakupił nam nowe mundury. Przez cały dzień fachowcy od musztry znęcali się nad nami (całą reprezentacją Operacji). Nasze zgrupowanie wyposażyło nas w warmińskie stroje ludowe (wypożyczone).

Nie miałem pojęcia, jak może wyglądać taki zlot. Na miejscu okazało się, że nie jest to coś, co lubię najbardziej. Za dużo ludzi. Tłok. Wielkie miasteczko zlotowe. Setki namiotów. Tysiące ludzi. Wszędzie megafony. W dodatku większość uczestników tego zlotu odstawała od nas wiekowo. Byli co najmniej 10 lat starsi.

Organizatorzy „postawili się", zapewniając wysoki standard. Na terenie miasteczka zlotowego i w mieście prawie bez przerwy koncertowały zespoły (czasem kilka jednocześnie w różnych miejscach). Zbiorowe żywienie zlotowe bardzo różniło się od harcerskiego. Wrzucano nam do menażek porcjowane fabrycznie masło i wędlinę w plasterkach, pakowaną w folię. Była to żywność najwyższej jakości. Eksportowa. Wtedy nie można było kupić tego w sklepach. My być wielki świat. Specjalnie do Łodzi sprowadzono wtedy pierwszy transport Pepsi Coli (z Holandii?). Spróbowałem oczywiście. Ciepły, rosnący w ustach napój. Nie smakowało mi.

Operacja 1001 Frombork chyba w ostatniej chwili załapała się na Zlot, bo nie była ujęta w grafiku „odwiedzin w zakładach pracy". Organizatorzy kazali podzielić naszą ekipę i „poprzyczepiali" po kilka osób do delegacji województw. Na chybił trafił. W ten sposób razem ze Ślązakami zwiedzałem zakłady pracy i brałem udział w spotkaniach z młodymi prządkami i szwaczkami. Oglądałem maszyny pamiętające czasy „Ziemi obiecanej" i nie mogłem uwierzyć, że można na nich wyprodukować cudeńka, które pokazywali nam gospodarze.







Rad regulaminu

Ślązacy (w większości górnicy) bardzo sympatyczni. Po trzech dniach przebywania wśród nich zaczynałem już mówić ich gwarą. Niespodziewanie obdarowali mnie dobrem wszelakim. Kierownik ekipy próbował rozdzielić bony towarowe, ważne w bufetach zlotowych. Kiedy górnicy dowiedzieli się, że bony mają wartość 30 zł (bochenek chleba 4 zł), stwierdzili, że ktoś próbuje z nich robić dziadów i odmówili przyjęcia jałmużny. Któryś zaproponował, żeby dać bony „temu bajtlowi w krótkich galotach". Kierownik podszedł do mnie i widząc, że się waham, powiedział: „jak nie weźmiesz, to oni się obrażą. Będziesz miał przekichane". Nie chciałem obrazić sympatycznych (i wtedy najlepiej zarabiających) Ślązaków. Pomachałem plikiem bonów nad głową i wrzasnąłem „Dziękuja, chopy!". Wszyscy byli zadowoleni. Najbardziej kierownik. Zwrócić bonów nie mógł. Polityczna sprawa. „Mogłoby to być źle odebrane". Gdyby je zatrzymał, to wszyscy mieliby go za „dziada, co się na grosze łakomi". Tak czy inaczej, byłem bogaty. Jak tylko trafiliśmy do bufetu, to zorganizowałem „wieczór piosenki biesiadno-rajdowej". Studenci (z Gliwic?) mieli gitary, a nie mieli kasy. Za resztę bonów nakupowałem różności. Niech kopidoły też mają coś z tego, że byłem na zlocie.

Przez cały zlot bardzo mocno podkręcano propagandę polityczną. Towarzysz Gierek zwiedził miasteczko zlotowe, młodzież mu zameldowała, zdeklarowała jeszcze więcej (procent normy?) itd., itp. Nie bardzo się z tym identyfikowałem. Nie to, żebym próbował coś lub kogoś „obalić". Z natury jestem indywidualistą i sceptykiem. Nie pamiętam, abym kiedykolwiek był entuzjastyczny. Byłem tu i reprezentowałem Operację 1001 Frombork, czyli coś, co akceptowałem, popierałem, ceniłem. Coś, co było dla mnie ważne.

Przemarsz zlotowiczów ulicą Piotrkowską (kilka kilometrów) przypłaciłem krwawiącą stopą. Trzewiki warmińskie miały gwóźdź w podeszwie. Prawdziwy wstrząs przeżyłem podczas „spotkania młodzieży z towarzyszem Gierkiem" (albo odwrotnie). Wszyscy uczestnicy zlotu zostali upchnięci w hali widowiskowej. Duszno, gorąco, hałas. Dużo czasu zajęło rozlokowanie zlotowiczów na miejscach. Kiedy usiadłem na swoim miejscu, do planowego rozpoczęcia spotkania zostało jeszcze 45 minut. Przez megafony puszczali muzykę. Co jakiś czas głos z megafonu przypominał, jaki jest program spotkania. Do godziny „0" zostało 20 minut. Z megafonu posypały się hasła: WITAMY DELEGACJĘ WOJEWÓDZTWA BIAŁOSTOCKIEGO!!! NA CZEŚĆ BIAŁEGOSTOKU HIP HIP HURA! CO TAK SŁABO?! NIE MÓWCIE, ŻE NIE LUBICIE BIAŁEGOSTOKU! DZIEWCZYNY Z BIAŁEGOSTOKU, POKAŻCIE SIĘ! WSTAŃCIE! O! JAKIE FAJNE DZIEWCZYNY! NA CZEŚĆ DZIEWCZYN Z BIAŁEGOSTOKU! HIP HIP HURA!

Żarty, docinki. Dobry był ten od megafonu. Urozmaicał nudę oczekiwania. Przywitał każdą delegację. Nie wznosiłem okrzyków (z wyjątkiem powitania delegacji Warmii i Mazur i delegacji Operacji 1001 Frombork), ale z przyjemnością słuchałem żartów megafonu. Megafon zaproponował rywalizację. Kto głośniejszy, lewa czy prawa strona hali? Nie miałem zamiaru rywalizować

z jakąkolwiek stroną. Tym bardziej że zmieniły się hasła. Megafon krzyczał: LEWA STRONA! NIECH ŻYJE TOWARZYSZ GIEREK! Lewa strona odpowiadała: NIECH ŻYJE!!! Megafon: CO TAK SŁABO?! PRAWA STRONA! NIECH ŻYJE TOWARZYSZ GIEREK! Prawa strona odpowiedziała: NIECH ŻYJE!!! Byli głośniejsi. Pomyślałem, że siedzę wśród cieniasów, co nawet nie potrafią się rozedrzeć. Kiedy kolejny raz moja strona wypadła blado, przyłączyłem się do wrzasku. O dziwo! Teraz wypadliśmy znacznie lepiej od tamtych. Megafon zwiększył tempo. Teraz nie musiał już nic wyjaśniać. Hasła i odzewy były znane. Nie musiał nawet mówić: LEWA, PRAWA. Wiadomo było, że krzyczymy na przemian: NIECH ŻYJE!!! HURA!!! MŁODZIEŻ Z PARTIĄ!!! Wyraźnie słyszałem, że jesteśmy lepsi od tamtych. Uważnie słuchałem megafonu. Im równiej, tym głośniej! Ludzie siedzący przede mną po kolejnym okrzyku zerwali się z miejsc. Zasłonili mi widok. Obudziłem się. Co ja robię? Przecież nie chcę krzyczeć? Czemu więc krzyczę??? Wbrew mojej woli. Przez chwilę nie byłem sobą. Megafon myślał za mnie. Rozejrzałem się dookoła. Zobaczyłem tłum zdalnie sterowanych ludzi.

Od tamtej pory unikam tłumu. Wiem już, że można sterować nim w dowolny sposób. Człowiek jest zwierzęciem stadnym Wystarczy znać psychologię tłumu. Nic nowego. Wiedza stara jak ludzkość. Wykorzystywana od zawsze przez wszystkich, którzy ją posiedli. Była, jest i będzie stosowana.

W drodze powrotnej do Fromborka autokar zatrzymał się na leśnym parkingu. Szefostwo zarządziło zbiórkę. Odczytali uchwałę Rady Miasta Frombork i rozkaz Sztabu Operacji 1001 Frombork. Zostałem Honorowym Obywatelem Fromborka. Wolałbym na fromborskim rynku. Nie miałem na to wpływu. Pocieszam się, że jest tylko kilkoro HOF-ów, którym wręczono medale w partyzanckiej scenerii.

Andrzej Jaroszyński

Zdjęcia pochodzą z: https://www.szybkiplik.pl/FWUSF8zi4H [data odczytu: 14 października 2023]; są to skany z książki „Operacja 1001 – Frombork", I. Sekuła, H. Leśniowski, oprac. graf. K. Dobrowolski, Warszawa: Wydawnictwo Harcerskie Horyzonty, 1973. Teksty ze zbioru opowiadań wydrukowanych okolicznościowo przez burmistrzynię Fromborka, z okazji Zlotu Honorowych Obywateli Fromborka w 2013 roku. Zbiór nosi tytuł „Skarby, przygody, podchody".

***Andrzej Jaroszyński**, uczestnik, jako harcerz, Operacji Frombork 1001, Honorowy Obywatel Fromborka. harcmistrz. Uczestniczył w 6 turnusach obozowych, pracując na wykopaliskach archeologicznych, kładąc chodniki i pomagając w pracach budowlanych. Współzałożyciel Harcerskiego Klubu Archeologicznego przy Warmińsko-Mazurskiej Chorągwi ZHP w Olsztynie. Wraz z żoną, harcmistrzynią Ewą Jaroszyńską, prowadził harcerskie obozy archeologiczne na Polach Grunwaldu; prace pod kierownictwem dr. Romualda Odoja z Muzeum Warmii i Mazur w Olsztynie.*